

Porozumienie Trzech



Tomasz Niziński

SPIS TREŚCI

<i>Rozdział I</i>	3
<i>Rozdział II</i>	29
<i>Rozdział III</i>	78
<i>Rozdział IV</i>	128
<i>Rozdział V</i>	157
<i>Rozdział VI</i>	189
<i>Rozdział VII</i>	222

ROZDZIAŁ I

Z pozorów mogłoby się wydawać, że trzy miesiące oblężenia w żaden sposób nie zmieniły Nowego Ereburga. Pożary wybuchały tylko z nieznacznie większą częstotliwością, a ich główną przyczynę nadal stanowił wysoki odsetek ludności z dostępem do krzemienia pośród niemal wyłącznie drewnianej zabudowy. Ci, którzy opływali w dostatek podczas pokoju, nadal mieli się dobrze, a ci, którym wcześniej przychodziło głodować, wciąż nie dojadali. Kto posiadał solidny, kamienny dom w dobrej dzielnicy, nie musiał się obawiać, że go straci. A ten, kto kilka miesięcy wcześniej odbudował swoją drewnianą chatę po zamieszkach w dzielnicy biedaków, nie mógł liczyć, że długo pozostanie ona nietknięta.

Tymczasem jednak, gdzieś głęboko pod powierzchnią, po raz pierwszy od setek lat zaczęły płynąć prądy mające zmącić spokojne wody prowincji. Świat, dotąd wygodnie podzielony na swoich i obcych, zaczął się nagle komplikować, a przekazywane z dziada pradziada klasyfikacje przestawały pasować do nowej rzeczywistości. Zbudowane na wiekach tradycji światopoglądy legły w gruzach, a w ich miejsce, pośród bolesnych wahań, dyskusji i dylematów, rodziły się nowe.

Zaczął się od tego, że na mapie prowincji opanowanej przez rebeliantów, oprócz ciągle niezdobyczego Nowego Ereburga i znajdującego się tuż za granicą obozu szykującej się do odsieczy armii hrabiego de Verdego, wyznaczono trzeci punkt – *Nichtael*, tłumaczone zazwyczaj z irytującym patosem jako „Wspólny Dach” albo „Schronienie Wspólnoty”. Najpierw próbowano zrozumieć istnienie tego miejsca w kontekście trwającego buntu. Rozłam w rebelii? Wewnętrzne konflikty między powstańcami? Potem jednak do Nowego Ereburga zaczęli napływać ludzie z *Nichtael* i legendy zaczęły się rozprzestrzeniać.

Mówiono o mieście, gdzieś daleko na wschodzie prowincji, które wypisało się z odwiecznego konfliktu Erei i Caellarh. Które odrzuciło istnienie wszechwładnych monarchów i fanatycznych wojowników. W którym nie było miejsca dla urodzonych w dostatku arystokratów i chciwych kupców. Którego nie podzielono na biedne i bogate dzielnice. W którym każdy chętnie pracował na rzecz wspólnego dobra i w którym wszyscy byli szczęśliwi.

Wkrótce potem po Nowym Ereburgu zaczęły krążyć pamflety Leytona Dettre, a ja za każdym razem, gdy czytałem te teksty, miałem wrażenie, że słyszę w głowie głos Arai.

Mówiły one o nierównościach społecznych, krytykując zarówno erejską arystokrację ziemską, jak i bogatych kupców z Caellarh. Potępiały wojny rozpętywane przez wodzów, a toczone przez zwykłych ludzi. Zjadliwość autora utworów w równym stopniu kierowana była pod adresem erejskiej monarchii, co przywódców

powstania. Wzywał do zniesienia szlacheckich przywilejów, dziedzicznej władzy króla i rozdzielenia majątków wśród ludu. Domagał się powszechnego dostępu do edukacji i równouprawnienia dla nisko urodzonych. Oraz, co wydawało się całkiem niedorzeczne, krytykował religię.

Bez porównania najbardziej rozpowszechnione dzieło tego okresu stanowił traktat Leytona Dettrego, potępiający zarówno wiarę voranistyczną, nawołującą do lojalności wobec Erei, jak i duranistyczną, wzywającą do buntu przeciw królestwu, jako propagandowe narzędzia politycznej manipulacji. Pamflet domagał się odrzucenia wszelkiej religii jako skorumpowanej powiązaniami z władzą i służącej do wymuszania posłuszeństwa prostego ludu przez straszenie niepokornych karą w zaświatach. Nawet najbogatsi kupcy Nowego Ereburga, z oczywistych względów negatywnie nastawieni do poglądów Dettrego, pogrążyli się w dyskusjach nad tym tekstem, choćby dlatego, że na własne oczy musieli się przekonać, by uwierzyć w istnienie ideologii politycznej, która nie wykorzystuje religii w takiej czy innej formie jako sposobu na legitymizację swoich tez.

Nie znaczy to, że koncepcje tarystów z Nichtael nie spotykały się ze sprzeciwem. Krytykowano je i wyśmiewano bezlitośnie. Przeklinano i przestrzegano przed nimi jako najwyższymi oznakami degeneracji myśli politycznej. Nikt jednak nie był gotów, by bronić *status quo*. Uświęcone idee, raz zakwestionowane, stały się nagle przedmiotem debaty. To, co wcześniej uznawano za prawdę absolutną, nagle wymagało uzasadnienia.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów świat stał się dla mieszkańców Caellarh niezrozumiały. Nagle zdali sobie sprawę, że nie wiedzą, co myśleć.

Na szczęście znaleźli się inni, gotowi robić to za nich.

Erejska propaganda sięgnęła po wszystkie sprawdzone metody, od opłacanych agitatorów i heroldów, przez „działania edukacyjne”, po represyjne aresztowania (co nie znaczy, że nie prowadzono ich wcześniej w odniesieniu do „podejrzanych” o sympatyzowanie z buntownikami – po prostu rozszerzono grupę docelową). Kupcy i przedsiębiorcy Nowego Ereburga również opłacili najemnych myślicieli mających obalać tezy Leytona Dettrego (ale tylko te dotyczące likwidowania różnic majątkowych). A wrogie sobie kościoły – duranistyczny i voranistyczny – zawarły tymczasowy sojusz wobec wspólnego wroga i grzmiąły w swoich świątyniach na temat moralnego zepsucia panującego w Nichtael. Szybko jednak okazało się, że straszenie wiernych swobodą seksualną przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego, napędzając zwiększoną emigrację do Schronienia Wspólnoty. W efekcie duraniści czym prędzej obwinili za porażkę voranistów, którzy z kolei odpowiedzieli tym samym, i tak święci mężowie wrócili do swojej zwykłej praktyki obrzucania się nawzajem uświęconym błotem.

Kontrowersyjne idee wygłaszano nie tylko w zacisznych miejscach, z dala od uszu królewskich urzędników, żołnierzy i szpiclów, lecz także wykrzykiwano je podczas publicznych wieców, a nawet w drodze na szafot, wzywając świadków egzekucji, by dalej ponieśli ideologiczną pochodnię. Pracownicy manufaktur, narzekając

na swoją dolę, nie sarkali już na wrednego przełożonego, lecz na „klasę posiadającą” i „opresyjny system wyzysku”. Do zarządzającej miastem Rady Administracyjnej składano wnioski o wprowadzenie niektórych tarystycznych postulatów, które kontrolowani przez erejską armię i miejskich kupców członkowie Rady natychmiast zamiatali pod dywan.

Regularnie widywano na murach nie tylko powstańcze hasła w rodzaju: „Czarny Wilk nadchodzi” czy „Wodzu, prowadź na Vorain!”, lecz także: „Ludu pracy! Zrzucaj okowy i zmierzaj do Nichtael” oraz „Grzyby są odpowiedzialne na każde pytanie dotyczące teodycei” (to ostatnie dziwnym trafem tylko w okolicach uczęszczanych przez Szalonego Yorlana).

Wszystko to działo się pomimo faktu, że nie było żadnych dowodów pozwalających potwierdzić, że ludzie głoszący chwałę Nichtael rzeczywiście kiedykolwiek postawili w nim stopę, i że życie tam faktycznie stanowi raj na ziemi. Nigdy nie zostało też jasno powiedziane, z czego właściwie utrzymuje się tamtejsza społeczność i jakie czynności mają na myśli agitatorzy mówiący o „pracy” na rzecz wspólnego dobra. Leytona Dettrego, jak się zapewne domyślicie, nikt nigdy nie widział na oczy.

Nie było też przy tym do końca zrozumiałe, co rebelianci myśleli o ludziach z Nichtael, choć najczęściej powtarzana w mieście teoria głosiła, że buntownicy nie myśleli wcale. Wszystko wskazywało jednak na to, że zamiarem tarystów było zachowanie neutralności w trwającym konflikcie. Jeśli jednak powstańcy zdawali się tę

postawę szanować, to nikt nie miał wątpliwości, że zmierzająca do Caellarh armia hrabiego de Verdego będzie wieść powstańców i tarystów na tych samych stryczkach.

A gdzie w tym wszystkim byłem ja? Dokładnie tam, gdzie zawiodło mnie lekkomyślnie wypowiedziane życzenie. W samym środku całego tego bałaganu.

Wiedziałem, że należy spodziewać się najgorszego, gdy Yorlan szybko zerknął na boki, by upewnić się, że pozostali wartownicy są poza zasięgiem głosu, po czym zagadnął stojącego obok nas strażnika:

– Kolego, wyglądasz na diabelnie znudzonego.

Stojący na szczycie miejskich murów Erejczyk, którego twarz zastygła w masce niewyobrażalnego wręcz znużenia, wykończony nocną wartą i oślepiiony promieniami wschodzącego nad Nowym Ereburiem słońca, nie zareagował w żaden sposób. Obok mnie Ouanga ziewnął szeroko, jeszcze nie do końca przebudzony, i uniósł rękę, by osłonić oczy przed błyskami światła odbijającego się od broni i pancerzy formującej się na przedpolu armii.

– Widzę, że jesteś całkiem wykończony – kontynuował alchemik. – Do tego stopnia, że nie masz nawet siły odpędzać tych wszystkich gołębi, które obsrywają każdy skrawek muru wokół ciebie. A gdybyś tak mógł do nich przemówić w ich własnym języku, przekonać je, by dały ci spokój, a może nawet skłonić do grupowego nasrania na głowę twojego kolegi?

Zamglone, do połowy przykryte ciężkimi powiekami oczy wartownika nagle rozblęskły blaskiem wątego zainteresowania, choć nadal pozostawały skierowane na wypełzających ze swoich namiotów buntowników. Spojrzałem pytająco na Ouangę. To był ostatni moment, żeby powstrzymać to, co Yorlan zamierzał zrobić, lub (ze znacznie większą szansą powodzenia) rzucić się do panicznej ucieczki. Ciekawość jednak zwyciężyła. Alchemik mówił dalej kuszącym, przyciszonym głosem.

– Mam tu flakonik unikalnego eliksiru, który pozwala ludziom rozmawiać ze zwierzętami. Co ty na to? Chcesz sobie urozmaicić długie godziny na warcie? Pomyśl tylko o możliwościach. Mógłbyś nasłać szczury i ptaki na nie lubianych kolegów lub wrogów. Użyć ich jako szpiegów, by pozyskać sekrety przeciwnika i zabić przed swoimi dowódcami. Albo po prostu zebrać najlepsze plotki w mieście...

Erejczyk przebudził się nagle ze swojego stuporu i wyrwał Yorlanowi naczynie z ręki, po czym bez wahania wypił zawartość co do kropli. Niemal natychmiast zwrócił się w stronę kilkunastu gołębi, które rozsiały się na blankach nieopodal, i wydał z siebie serię nie ludzkich dźwięków, które przypominały gruchanie na tyle, na ile to tylko było możliwe dla ludzkich narządów mowy.

Nastąpiła po tym długa chwila absolutnej ciszy, podczas której ja, wartownik i gołębie wymienialiśmy między sobą pełne niedowierzania spojrzenia, próbując jakoś przyswoić sobie to niewyobrażalne zdarzenie, którego właśnie byliśmy świadkami. Strażnik wydawał się być jeszcze bardziej

zdziwiony swoim wyczynem niż my, ale ptaki sprawiały wrażenie najbardziej zszokowanych z nas wszystkich. Wszystkie jednocześnie wbiły swoje cyklopie spojrzenia w Erejczyka, a potem przeniosły je kolejno na mnie, Ouangę i Yorlana, jakby domagały się od nas wyjaśnienia jego postępowania. Alchemik, sprawca całego zamieszania, nie zdradzał rzecz jasna nawet śladu zaskoczenia.

Cisza została przerwana całkowicie nagle i bez ostrzeżenia, gdy wszystkie gołębie na murach podniosły jednoczesny i niepokonany jazgot, hałasując tak głośno, jak tylko pozwalały im ich drobne ciała, a każdy wrzask wydawał się być skierowany pod adresem Erejczyka. Ten, nasłuchując, pochylił się w ich kierunku. Sprawiał wrażenie, jakby całym ciałem chłonał tę kakofonię, a na jego twarzy malował się jednocześnie niepokonany zachwyty i skrajne przerażenie. Po krótkiej chwili mina wartownika zaczęła się jednak zmieniać i raz po raz szaleńcze grymasy wykrzywiały jego oblicze, zupełnie jakby mięśnie twarzy wyrwały się spod kontroli i zostały opanowane przez jakąś demoniczną siłę. Gołębi wrzask nie tylko nie osłabł, ale jeszcze się nasilił, gdy kolejne ptaki przywołane hałasem zleciały się i obsiadły mury dookoła nas, dołączając swoje głosy do szaleńczego koncertu. Strażnik, który tymczasem upuścił swoją broń i miotał się gwałtownie w różnych kierunkach, zaciskając dłonie na uszach, wydał z siebie przeciągły, świdrujący krzyk. Nagle, jakby dostrzegł wyjście z mrocznego więzienia, cisnął się do przodu, wskoczył na fragment muru pomiędzy blankami i rzucił w dół, a potężne grzmotnięcie ciężkiej zbroi o grunt posłużyło jako puenta dla jego opadającego

wrzasku. Ptaki zamilkły jak na komendę i po chwili zerwały się do lotu.

– Wiedziałem, że tak będzie – mruknął Yorlan. – Komunikacja ze zwierzętami to kretyński pomysł.

– Co?! – wrzasnąłem, wraz z Ouangą wyglądając między blankami na zmaltretowane ciało spoczywające u stóp muru.

– Ano tak. Zwierzęta to bezwzględne skurwiele. Właśnie dotarło do niego, że jego bóg nie istnieje, a świat przenika aksjologiczna pustka. Ptaki wiedzą, jak dobrać się do twojego słabego punktu, potrafią naprawdę zranić uczucia.

– O czym ty mówisz? Co naprawdę się stało?

Yorlan westchnął.

– To chyba oczywiste... Nasze umysły, w porównaniu do zwierzęcych, funkcjonują w skrajnie inny sposób, bariera językowa to tylko początek drogi. Nie wiem, co się dzieje w ptasich mózdkach, ale na pewno jest niestrawne dla ludzi. Jak powiedział mój znajomy, hrabia Witt Genstein: „Gdyby lew umiał mówić, nie potrafilibyśmy go zrozumieć”.

Wartownicy stojący w regulaminowych odstępach po naszej prawej i lewej stronie wpatrywali się w nas z niedowierzaniem na twarzach, ale zgodnie z procedurą żaden z nich nie zszedł z posterunku, czekając, aż na mury dotrze sierżant dowodzący wartą. Ten zresztą już po chwili wdrapał się po schodach na najwyższy poziom umocnień, zasapany i wyraźnie bardziej przejęty wysiłkiem wspinaczki, niż stratą jednego z podwładnych.

Rzucił kilka pospiesznych pytań, na co Yorlan z kamienną twarzą opowiedział historię o nieszczęsnym wartowniku, który najwyraźniej stracił zmysły po szczególnie wyczerpującej warcie i nabrał przekonania, że gołębie do niego przemawiają, po czym ogarnięty szaleństwem skoczył w przepaść. Sierżant wysłuchał, po czym machnął ręką na dalsze dochodzenie.

Nie uległo wątpliwości, że nie uwierzył w ani jedno słowo, ale o naszym alchemiku krążyło w królewskiej armii wiele opowieści. Żadna z nich nie sugerowała, że dłuższe przebywanie w pobliżu Yorlana stanowiło dobry pomysł.

Dowódca warty postawił nowego żołnierza na posterunku i przeklinając schody, po których kroczył, jak i wszelkie strome powierzchnie w ogóle, wrócił na swoje stanowisko.

Nowy strażnik, ewidentnie wyciągnięty z łóżka, by sprawować wartę poza kolejką, bez wątpienia obwinał nas za swoje położenie i tylko szukał pretekstu, żeby wyładować na kimś swój gniew. Jego oczy zwięziły się na widok czarnej skóry Ouangi i jego usta ułożyły się tak, jakby zamierzał splunąć mu pod nogi, ale na widok prowokującego, niemal zachęcającego uśmiechu porucznika zmienił zdanie. Niechętnie zajął swoje miejsce, a ja czym prędzej odciągnąłem od niego Yorlana.

Przeszliśmy kawałek po murze do miejsca, gdzie zasiedli czekający na nas Liczydło i Chi. Wyglądający na obrażonego kwatermistrz bez słowa podał alchemikowi ciężką sakiewkę wypełnioną monetami, a ten natychmiast cisnął ją ponad blankami na przedpole, by udowodnić, że doprowadził przypadkowego człowieka

do szaleństwa nie dla pieniędzy, ale w imię idei. Yorlan kierował się w życiu wyłącznie jedną zasadą, która zmieniała się codziennie i dzisiaj brzmiała: „Wszelkie okazje do zirytowania Liczydła należy bezwzględnie wykorzystywać”. Poczułem się zobowiązany odegrać rolę dobrego przyjaciela dla rudego kwatermistrza.

– Jesteś idiotą – poinformowałem go tonem pełnym współczucia.

Licydło nawet na mnie nie spojrzał, spod przymrużonych oczu obserwując buntowników rozwijających szyk na przedpolu.

– Nie zamierzam przyjmować krytyki od kogoś, kto usłyszawszy wołanie o pomoc dochodzące z ciemnej uliczki...

– Raz w życiu miałem altruistyczny odruch!

– ...wygłaszane przez podejrzenie zwiewną, ale bardzo ładną kobietę...

– Skąd mogłem wiedzieć, że to miraż?

– ...dał się wciągnąć w najbardziej oczywistą pułapkę kiedykolwiek skonstruowaną...

– Jej geniusz tkwił w jej prostocie!

– ...i dostałby wpierdol od naćpanej bandy Dzieci Czarnego Wilka, gdyby nie trzeźwiej myślący koledzy, którzy jak zwykle uratowali mu tyłek.

– Nie zamierzam pozwolić, by ta nieuzasadniona dygresja odwróciła uwagę od najważniejszego faktu. Kiedy Yorlan zadał ci pytanie: „Zakład, że zdołam sprawić, żeby tamten wartownik dobrowolnie rzucił się z murów?”, ty wdałeś się z nim w negocjacje na temat stawki, zamiast, jak każdy rozsądny człowiek, rzucić się do ucieczki.

– Koniec gadania, ostatnia okazja, żeby obstawiać. Yorlan, zostajesz na bombardowanie?

Alchemik zastanowił się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Widziałem gdzieś po drodze Erejczyków gaszących pożar koszar Ósmego Kawaleryjskiego. Pójdę lepiej dołożyć do ognia.

Yorlan zniknął gdzieś na niższym poziomie murów, a Ouanga tymczasem skierował naszą uwagę na buntowników.

– Wygląda na to, że skończyli karmić Tłustą Hildę.

Wychyliłem się ponad blankami, żeby lepiej widzieć, i faktycznie, ładowanie gigantycznego trebusza zostało właśnie zakończone, a mrowisko zgromadzonych wokół niego ludzi zaczęło się rozbiegać, zostawiając tylko niezbędną załogę czekającą na sygnał do strzału. Nieopodal można było dostrzec grupę kolorowo ubranych konnych ze sztandarami dumnie powiewającymi nad ich głowami. Zgodnie z przewidywaniami najwyższe dowództwo rebeliantów zebrało się, by być świadkami pierwszego strzału Tłustej Hildy.

– Daję jeszcze trzy dychy na Hildę, to pewniak – oświadczył Ouanga i przesunął po blanku stos monet, które Liczydło dodał do puli.

Całe to gadanie przypomniało mi o jedzeniu i wgrzyłem się w resztkę zimnego mięsa niewiadomego pochodzenia, które zabrałem ze sobą na tę specjalną okazję. Rozglądając się dokoła, przypadkiem napotkałem spojrzenie jednego z wartowników w królewskich barwach, który wpatrywał się w mój posiłek wygłodniałym wzrokiem.

No tak, nocna warta. Prawdopodobnie nie jadł nic od dziesięciu godzin. Jeśli się nad tym zastanowić, to nasz pomysł, by zjeść śniadanie na murach, tuż przed zmianą wyczerpanej, zaspanej i wygłodniałej załogi nocnego posterunku, musiał być w oczach strażników szczytem sadyzmu. Oczywiście musielibyśmy być potworami, by nie współczuć tym biedakom, dlatego przeszło nam przez myśl, żeby wykazać choć elementarną przyzwoitość i nie jeść bezczelnie na ich oczach. Ale właśnie zaczynało się bombardowanie, a my porobiliśmy zakłady, więc przyzwoitość musiała zejść na dalszy plan. Skończyłem mięso i przyjąłem piwo, które podsunął mi Liczydło, zwędzone wcześniej z pobliskiej oberży. Pociągnąłem głęboki łyk, czując na sobie przedłużające się spojrzenie wartownika. Nie miałem wątpliwości, że w tej chwili nienawidzi mnie bardziej, niż kogokolwiek z wrogiej armii zgromadzonej pod murami.

– Liczydło, dodaj moją wygraną z poprzedniego zakładu do puli – dobiegł mnie głos Chi. – Stawiam wszystko przeciwko Hildzie.

– Ha! – wykrzyknął czarnoskóry porucznik. – Prosto w paszczę lwa.

– Ouanga, jeśli się nie mylę, jeszcze w zeszłym tygodniu potrzebowałeś dokładnych instrukcji co do tego, którym końcem należy ładować pocisk do balisty. Jeśli stawiasz pieniądze na sprzęt obłączniczy, chcę być po drugiej stronie tego zakładu.

Też postawiłem sporo przeciw Hildzie, więc uniosłem rękę do góry i pogratulowaliśmy sobie wzajemnie z Chi, która będąc za niska, by wyglądać nad blankami,

wspięła się na górę i teraz siedziała na szczycie muru, machając nogami nad przepaścią.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Liczydło, zagłuszając protesty Ouangi. – Jaką wygraną? Z jakiego poprzedniego zakładu?

Chi w odpowiedzi wskazała słup dymu bijący z biednej dzielnicy na południu miasta.

– Obstawiałam przecież, że pierwszy pożar tej nocy wybuchnie w Chodakach.

– Doprawdy? Wydawało mi się, że dałaś coś na dzielnicę kupiecką.

– Stawiałam na obie. Dywersyfikacja ryzyka.

– Cisza – rzuciłem. – Zaczynają.

Na potwierdzenie moich słów właśnie w tym momencie rozległo się dudnienie bębnow, którym oblegający każdego poranka obwieszczali rozpoczęcie kolejnego dnia ostrzału. W założeniu monotonny, złowieszczy rytm, wybijany do wtóru pracy machin obłączniczych, miał osłabić morale obrońców. Zamiast tego służył jako podkład do ułożonej przez wartowników piosenki, która dosadnie opisywała szczególnie kreatywne akty seksualne i której refren zawsze kończył się frazą: „Wy bębniące skurwysyny!”

Zazwyczaj bębny biły przez dłuższą chwilę, po czym wszystkie katapulty i trebusze wystrzeliwały potężną, jednoczesną salwę, po której następował strumień nieustannego, wolnego ognia, który przez cały dzień bombardował miasto. Tym razem jednak pierwszy strzał najwyraźniej miał być solowym występem Tłustej Hildy, potężnego trebusza znacznie przewyższającego rozmiarem wszyst-

kie inne. Ekipy ładujące pozostałe maszyny stały bez ruchu, obserwując uwijającą się jak w ukropie obsługę Hildy, która przez ostatnie kilka tygodni była mozolnie budowana przez rzeszę pracujących do granic wytrzymałości budowniczych. Teraz, wreszcie gotowa, ta potężna struktura górująca nad przedpołem robiła imponujące wrażenie.

– Niemała zabawka, trzeba przyznać – mruknął Liczydło. – To cholerstwo mogłoby naprawdę niezłe narozrabiać. Jeśli w ogóle zadziała, to może nawet nabiorę trochę szacunku dla tej hałastry koczującej pod murami.

Wyteżyłem wzrok, wpatrując się w ledwie widoczne sylwetki zebrane wokół ogromnej maszyny. Po gorączkowej bieganinie wreszcie zamarli na swoich stanowiskach i teraz z kolei trebusz zaczął się poruszać. Przeciwwaga została zwolniona i jej ciężar pchnął w ruch długie, smukłe ramię zawierające pocisk. Gdy było już w połowie drogi do punktu, w którym pocisk był przez nie wypuszczany z morderczą prędkością, któraś z figurek otaczających Tłustą Hildę zamachała gwałtownie rękami i rzuciła się na ziemię. Niemal w tym samym momencie coś chrupnęło donośnie, trebusz przechylił się nieco w bok i wystrzelił pocisk, który przez zaburzoną trajektorię lotu uderzył w ziemię o kilkadziesiąt metrów od muru. Tłusta Hilda natomiast wydała z siebie kolejne chrupnięcie i z łomotem runęła na swoich budowniczych. Potężna konstrukcja roztrzaskała się o ziemię, przygniatając kilkadziesiąt ludzi, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w pobliżu maszyny.

Wśród obrońców na murach rozległo się głośne wiatowanie, w którym można było też wyłować chóralne

„Wy bębniące skurwysyny!”, wykrzyczane przez kilku muzycznych wartowników oraz głośne przekleństwa Ouangi i Liczydła, którzy postawili na Hildę.

– Czy te patafiany nie mogą zbudować choć jednej porządnej maszyny?! – wrzeszczał porucznik. – Kurwa, ile można?! Trzeci raz próbują zbudować ogromny trebusz i trzeci raz rozpieprza się przy pierwszym strzale! Wydawałoby się, że wyciągną jakieś wnioski z poprzednich porażek, że zrobią jakiś progres. A żeby ich cholera...

– Mówiłam – doszło mnie z góry prychnięcie Chi. – Widać ci pod murami znajdują się na inżynierii obłąkniczej tak samo jak ty.

Porucznik splunął za mury i wyrzucił z siebie kolejny potok przekleństw, nie zwracając uwagi na dwóch wartowników, którzy przestali wiwatować i wpatrywali się w niego podejrzliwie, zdumieni, że ktoś może nie cieszyć się z porażki oblegających. Złapałem Ouangę za ramię, żeby uspokoić go, zanim wpakuje nas w kłopoty. Chi obserwowała nas ze swojego punktu widokowego, pogwizdując radośnie. Liczydło natomiast nie zwracał uwagi na panujące wokół emocje, starannie wyliczając dole zwycięzców.

Nogi mi zeszczywniały, więc zmieniłem nieco pozycję, zastanawiając się, czy przyniesienie poduszek, żeby usiąść na blankach stanowiłoby przesadną prowokację w stosunku do Erejczyków pilnujących murów i spojrzałem na przedpole. Wśród powstańczego dowództwa panował całkowity chaos. Upadająca Hilda spłoszyła konie i kilku sztabowców wylądowało na ziemi, a ci którzy utrzymali się w siodłach, wydzielali się teraz na siebie nawzajem. Dopiero kiedy kilku

buntowników przywlekło do nich szarpiącego się osobnika, zapewne konstruktora Hildy, cała złość skupiła się na jednej osobie. Zaczęto coś, co ewidentnie wyglądało na przygotowania do egzekucji, a tymczasem ktoś z rebelianckich generałów przypomniał sobie, że załogi innych machin stoją bezczynnie, oglądając ten cyrki dał znak do rozpoczęcia ostrzału.

Pociągnąłem łyk piwa, obserwując pierwsze pociski lecące w kierunku miasta. Szczerze mówiąc, smakowało mi ostatnio coraz mniej, co zapewne wynikało z braku urozmaicenia diety całkowicie zdominowanej przez produkty browarów. Picie wody w oblężonym Nowym Ereburgu praktycznie gwarantowało chorobę, w przeciwieństwie do piwa, które nie psuło się tak szybko i było szeroko dostępne, szczególnie jeśli znało się choć jednego skorumpowanego kwatermistrza.

– Winon przysięga, że cena piwa spadła od czasu rozpoczęcia oblężenia – powiedziałem na głos. – To niemożliwe, prawda?

– Ekonomia skali – oświadczył Liczydło i beknął donośnie. – Niedobór wody zwiększył zapotrzebowanie na piwo, a to z kolei sprawiło, że nasi przedsiębiorczy patrycjusze, z wielmożnym Derronem McCornaghem na czele, zainwestowali w budowę ogromnych browarów, które są znacznie bardziej wydajne niż dawny model produkcji. Importują też składniki w znacznie większej ilości, co pozwala obniżyć cenę za sztukę.

– Konkurencja na rynku też wzrosła.

– Nie da się ukryć. Nasi drodzy kupcy wyczuli okazję inwestycyjną i poszli w browarnictwo, sądząc, że będą mogli wycisnąć ostatnie grosze ze spragnionej populacji.

Ale ponieważ wszyscy jednocześnie wpadli na ten sam pomysł, to zamiast tego, mają nasycony rynek. A my mamy tanie piwo.

– Skąd to właściwie wiesz?

– Jak to? A kto niby pokazał tym wszystkim mądrałom, jak wprowadzić ogromne ilości towarów do miasta pomimo blokady buntowników?

– Nie mów, że McCornagh potrzebował od ciebie lekcji, jak przekupywać rebeliantów.

– Cóż, ktoś musiał przetrzeć szlak. Ja tylko wytyczyłem optymalne trasy i pory dostaw oraz stworzyłem siatkę przekupnych kontaktów po drugiej stronie. Nazywają mnie ojcem chrzestnym tutejszego piwowarstwa.

– Wcale nie.

– Jak to możliwe, że buntownicy przepuszczają zapasy dla miasta? – spytał Ouanga, śledząc wzrokiem pocisk przelatujący nad naszymi głowami.

– Na każdego męczennika po tamtej stronie przypada trzech, którzy nie lubią głodować. – wyjaśnił Liczydło. – Da się z nimi dogadać. Zresztą Nowy Ereburg jest cholernie duży. Nie można go otoczyć. No, może ogromna, profesjonalna armia z regularnymi, zdyscyplinowanymi patrolami dałaby radę wprowadzić całkowitą blokadę. Za to te chłopki z widłami to dziurawe sito. Całe karawany wjeżdżają do miasta w ciągu dnia, bez jakichkolwiek nieprzyjemności. Tylko od czasu do czasu trzeba coś posmarować, jak się ma pecha i wpadnie na jakąś bandę grasantów. Według szacunków Buba, import niektórych towarów, takich jak na przykład chmiel, wzrósł o co najmniej trzydzieści procent

w wyniku obłączenia. Na naszych oczach dokonuje się transformacja lokalnej gospodarki.

– A gdy Gruby Alf przybędzie z odsieczą to co? Czekają nas krach w browarnictwie?

– Wtedy nastąpi, jak nazywa to Bub, „otwarcie nowego rynku zbytu”.

– Znaczący, zwycięska armia będzie się chciała najebać.

– Właśnie. A później można eksportować. Bub mówi...

– Zaraz, to ten demon od grochu?

– Nie zajmuje się już grochem. Teraz prowadzi niezależne badania rynkowe. Łebski czart. Wszystkie szychy z dzielnicy kupieckiej zamawiają u niego raporty. Finnehan, Suirteach, Menechaim... Nawet sam McCornagh ostatnio zlecił mu analizę potencjalnych rynków eksportowych dla miejscowego piwa. Według szacunków Buba, nawet przy założeniu najgorszego wariantu, jeśli chodzi o koszty transportu, możliwe będzie osiągnięcie wyższych marż niż na sprzedaży lokalnej.

– To dla nas wszystkich wielka ulga, że przyszłość lokalnego piwowarstwa rysuje się w tak jasnych barwach.

Rozmowę przerwał potężny huk, gdy kamień wyrzucony z trebusza przeleciał nad murami i uderzył w wieżę pobliskiej świątyni, rozbijając ją w drobny mak. Grad cegieł poleciał w dół, a wokół rozległy się paniczne wrzaski wiernych.

– Ha! – wykrzyknęła Chi. – Trzy na trzy! Płać, Liczydło!

Nie otrzymałem nigdy satysfakcjonującego wyjaśnienia kwestii pochodzenia Dzieci Czarnego Wilka. Był to zdaje się jeden z tych produktów lokalnego folkloru, które miejscowi rozumieli w lot, a których Erejczycy nawet nie próbowali pojąć i co do których szpiedzy oraz donosiciele lubili sprawiać wrażenie, że posiadają jakiś unikalny wgląd, w rzeczywistości błędząc po omacku i powtarzając zasłyszane gdzieś frazesy.

Pierwszy raz zaczęło się o Dzieciach słyszeć krótko po rozpoczęciu oblężenia, w kontekście zamieszek regularnie ogarniających Chodaki. Niepokoje w tych okolicach stanowiły całkiem zwyczajne zjawisko jeszcze w czasach sprzed rebelii, więc standardowa procedura przyjęta przez sztab garnizonu zakładała ignorowanie ich, dopóki działały się w rozsądnej odległości od kogośkolwiek posiadającego portfel lub noszącego królewskie barwy. W sytuacjach, gdy występowało zagrożenie przeniesienia się walk poza dzielnicę biedoty, zwyczajowa reakcja obejmowała z reguły wysłanie kompanii regularnego wojska, która miała rozpędzić hołotę i zarządzić tych, którym nie uda się uciec. Standardowa metoda postępowania takiego oddziału obejmowała również palenie przypadkowo wybranych domów, nie kierując się przy tym absolutnie żadną logiką, co miało w założeniu zmniejszyć ryzyko ponownego wystąpienia podobnych wydarzeń. Zerowa skuteczność tego podejścia nie wpłynęła w jakimkolwiek stopniu na częstość jego stosowania.

Nawiasem mówiąc, buntująca się biedota również regularnie i z wielką pasją oddawała się paleniu okolicz-

nych budynków, w wyborze celów kierując się zazwyczaj wysoce selektywnym kryterium, które prowadziło do tego, że podkładano ogień pod wszystko, co znajdowało się w polu widzenia. Ktoś złośliwy mógłby potraktować tę entuzjastyczną piromanię panującą po obu stronach konfliktu jako dowód na to, że jedni i drudzy nie mieli żadnego planu i w gruncie rzeczy nie wiedzieli, co robią.

Ja jednak, jako osobnik z natury wstrzemięźliwy w osądach, ograniczę się do stwierdzenia, że jeśli w którymś z obozów znajdowali się ludzie rozsądni i kompetentni, to opanowali do perfekcji sztukę kamuflażu.

Wszystko to powinno ułatwić zrozumienie, dlaczego, gdy wśród masakrowanej w Chodakach biedoty zaczęły się nagle pojawiać coraz liczniejsze gromady ogarniętych zwierzęcym, bojowym szałem wyrostków, nikt, ale to absolutnie nikt, nie zwrócił na to uwagi. Powiniennem to chyba mocniej podkreślić. Fakt, że na erejskich żołnierzy tłumiących zamieszki regularnie rzucały się opętane, obdarzone nadludzką siłą i pozbawione jakiegokolwiek strachu czy ludzkich odruchów dzieci, nie spotkał się z choćby śladowym zainteresowaniem w Cytadeli i dzielnicy kupieckiej. Dopiero wtedy, gdy plaga ataków Dzieci Czarnego Wilka zaczęła ogarniać całe miasto, zagrażając także rezydencjom bogaczy i obronie miejskich murów, co niektórzy zaczęli sobie przypominać wcześniejsze wydarzenia w Chodakach. W sztabie garnizonu nareszcie doznano olśnienia i przypomniano sobie, że znaki ostrzegawcze, zapowiadające nadejście bieżącego problemu, pojawiały się wielokrotnie od dłuższego czasu i były konsekwentnie ignorowane przez wszystkich ludzi, w których

kompetencji i zakresie obowiązków znajdowało się zapobieganie właśnie takim zjawiskom.

Przez długi czas o Czarnym Wilku i jego fanatykach można było usłyszeć tylko od szaleńców na ulicach przepowiadających nadejście legendarnego wyzwoliciela. Aż jednej nocy manufaktura w centrum miasta została spalona, a cała załoga wymordowana. Już kilka godzin później wysoko postawiony oficer z Cytadeli stał przed grupą przedstawicieli najbogatszych kupców, zapewniając ich z całą mocą, że dowództwo garnizonu jest doskonale świadome zagrożenia i podjęło już szeroko zakrojone środki gwarantujące błyskawiczną infiltrację środowisk powiązanych z Dziećmi Czarnego Wilka i ich całkowitą neutralizację. Z wyjątkiem jednego pijanego, wypromowanego ku chwale nepotyzmu kuzyna Erlorna Finnehana, który zakrzyknął: „Ha! Dobre wożaki!”, klepnął się z rozmachem w udo i zwałił z krzesła na podłogę, nikt ani na moment nie uwierzył Erecjczykowi. Natychmiast zasypano go gradem pytań:

– „Kim dokładnie są Dzieci? Skąd się wzięły? Kto za nimi stoi? Od jak dawna sztab wie o ich istnieniu i jakie działania jak dotąd podjęto przeciwko nim?”

Oficer tępo przyznał, że nie zna odpowiedzi na żadne z nich, po czym zdał sobie sprawę, że powinien był się zasłonić tajemnicą wojskową. Przekląwszy się kilka razy w myślach, uciekł czym prędzej z zebrania, ucinając dalsze pytania niejasną groźbą na temat konsekwencji obrazy majestatu.

Kiedy wrócił do Cytadeli, zdał raport swojemu przełożonemu, zapewniając go, że miejsy kupcy są całko-

wicie uspokojeni i nie mają żadnych wątpliwości co do kompetencji królewskiej armii. Dowódca garnizonu mający imponujące długi karciane u miejskiej elity i całkowicie zależny od nich finansowo uznał, że skoro jego wierzyciele są zadowoleni, to żadne dodatkowe działania z jego strony nie są potrzebne. Tym samym więc erejskie wojska pozostały nadal przydzielone do swoich dotychczasowych zadań, sprowadzających się do przysypiania na murach, podczas gdy nieudolnie sklecone rebelianckie maszyny oblężnicze rozpadły się na przedpolu pod własnym ciężarem.

Wszystko, co wiedzieliśmy na temat Dzieci Czarnego Wilka, zawdzięczaliśmy Nice. Poczynając od tego, że przywódca buntowników miał być wcieleniem legendarnego bohatera Caellarh, którego przeznaczeniem było wyzwolenie regionu spod wrogiego panowania. To, że mniej więcej co dziesięć lat pojawiał się jakiś awanturnik twierdzący, że to właśnie on jest przepowiedzianym herosem, nie przeszkadzało fanatykom w gromadzeniu się wokół coraz to nowych wcieleń zbawiciela.

Tradycja ustna wspominała o potężnej mocy, jaką miał władać Czarny Wilk, ale jej opisy były zawsze ogólne, niejasne i wzbudzające natychmiastowy sceptycyzm. Cechy jego wyglądu przedstawiono językiem barwnym i dającym szerokie pole do nadinterpretacji, dzięki czemu do puli podejrzanych można by z powodzeniem zaliczyć całą populację regionu.

Jak jednak zaobserwowała Nika, ten najnowszy Czarny Wilk pod jednym względem różnił się od długiej listy swoich poprzedników: nikt nigdy nie widział go na oczy. Choć

wyznawcy czynili szkody w całym mieście, a imię powtarzano szeptem w eleganckich gospodach dzielnicy kupieckiej i wykrzykiwano na całe gardło w ponurych zaułkach Chodaków, to ani razu nie ujawnił się we własnej osobie.

Jego Dzieci zaś dawały o sobie znać nieustannie. Rekrutowały się w większości spośród wyrostków dorastających na ulicach, a średnia wieku wydawała się nie przekraczać piętnastu, ale nie brakowało też wśród nich znacznie starszych osobników. Ich ataki były całkowicie nieprzewidywalne, a wszyscy napastnicy wydawali się być ogarnięci szałem, który pozbawiał ich strachu i kontroli, jak również zdolności odczuwania bólu.

Nika szybko ucięła narastające plotki o „pogańskiej magii”, zarządzając autopsję jednego z Dzieci, która wykazała obecność w ciele znieczulającego i pobudzającego koktajlu potężnych związków alchemicznych. Dowiodła tym samym prawdziwości maksymy znanej w regimencie jako brzytwa Yorlana: „Nigdy nie przypisuj nadprzyrodzonego charakteru temu, co można wytłumaczyć nadużyciem substancji psychoaktywnych”.

Uzbrojone jedynie we własne zęby, Dzieci nie stanowiły wielkiego zagrożenia dla tych, którzy przebywali w okolicach regularnie patrolowanych przez królewskie wojsko i prywatne armie potentatów z Konsorcjum. Statystycznie rzecz biorąc, przeciętny mieszkaniec miasta miał większe szanse na to, że zostanie przez pomyłkę powieszony podczas erejskich represji, niż zginie z ręki fanatyków Czarnego Wilka. Abstrakcyjny koncept niekompetentnego wymiaru sprawiedliwości działał jednak na wyobraźnię znacznie słabiej niż mit, w który

obrastało to zjawisko. Nawet trupy Rega wydawały się budzić mniejszy strach miejscowych, zapewne dlatego, że pomimo złej sławy, znajdowały się pod władzą pewnego centralnego mechanizmu sterowania, który nosił przynajmniej pozory racjonalności.

Dowództwo garnizonu tymczasem radziło sobie z sytuacją w ten sam sposób, w jaki wszystkie instytucje w historii zwykły reagować na kryzys. Początkowo przez długi czas ignorowano narastający problem, zamiast zdusić go w zarodku. Następnie, wyolbrzymiając stopień zagrożenia, popadnięto w przeciwną skrajność. Cały sztab garnizonu nagle przerzucił się z debatowania istotnych zagadnień takich jak: „Czy mamy wystarczająco duże zapasy zboża, żeby nie umrzeć z głodu w przyszłym tygodniu?”, do prowadzenia wielogodzinnych narad na temat: „Jak możemy lepiej przygotować naszą profesjonalną, doskonale wyszkoloną armię do walki z nieuzbrojonymi wzrostkami?”. Odpowiedzią, jak zawsze w takich przypadkach, okazało się być sformowanie specjalnej jednostki do walki z Dziećmi Czarnego Wilka. Podejście to miało tę kluczową zaletę, że było bardzo konkretne i łatwe do wytłumaczenia bogatemu kupcowi pytającemu, co właściwie zostało zrobione, żeby poradzić sobie z bieżącym problemem. Miało jednak tę zasadniczą wadę, że absolutnie nikt, uwzględniając w tym najwyższe dowództwo, szeregowych żołnierzy i pomysłodawców całej akcji, nie miał bladego pojęcia, co ta specjalna jednostka miałaby robić. Zlikwidowanie tych oddziałów zaraz po ich sformowaniu oznaczałoby utratę twarzy, więc nie pozostało nic innego, jak tylko brnąć dalej. Jeśli w kolejnych tygo-

dniach ta jednostka wyróżniła się czymkolwiek, to tylko tym, że zawsze jako ostatnia zjawiała się na miejscu ataku, bo jej kierownictwo zdawało się posiadać unikalną, niemal magiczną zdolność do rozmieszczania swoich sił dokładnie w tych rejonach, w których akurat nie było żadnych niepokojów.

Tymczasem liczba Dzieci zdawała się rosnąć. Na początku grupy składały się z najwyżej kilkudziesięciu napastników, ale coraz częściej zdarzały się gromady przekraczające setkę. Na nic zdawało się apelowanie do rozsądku ze strony Niki – wyposażone w nadludzką siłę czy też nie, gołe ręce nie przebiją pancerzy, za to tak samo jak inne dają się pociąć mieczami – sztab garnizonu zaczął całkiem poważnie omawiać możliwość sforsowania przez Dzieci murów miejskich celem otwarcia od wewnątrz drogi dla buntowników zgromadzonych na przedpolu.

Jednostkę specjalną przeniesiono czym prędzej na mury, co dla jej członków oznaczało, że po krótkiej przerwie znowu spędzali dni na blankach, obserwując okolicę, tak jak reszta armii. Zaczęto również szacować, ile Dzieci potrzeba by było, żeby zdobyć odcinek umocnień i czy Czarny Wilk jest w stanie zebrać taką właśnie liczbę. To postawiło kręgi władzy Nowego Ereburga przed zupełnie nowym zagadnieniem.

Właśnie w tym momencie stratedzy z Cytadeli, cywilni urzędnicy z pałacu gubernatora i tworzący miejską elitę kupcy, musieli po raz pierwszy w życiu zastanowić się nad pytaniem, które nigdy wcześniej nie nasunęło się nikomu patrzącemu na morze drewnianych chat tworzących dzielnicę biedoty: ilu właściwie ludzi mieszka w Chodakach?

Porozumienie Trzech
Copyright © Tomasz Niziński
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Łukasz Matuszek
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-301-1
epub ISBN 978-83-7995-302-8
mobi ISBN 978-83-7995-303-5

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Bożena Walewska
Korekta techniczna: Felicja Jarnicka
Adiustacja autorska wydania i projekt okładki: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Łukasz Matuszek
Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



TANIEC MARTIONETEK TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

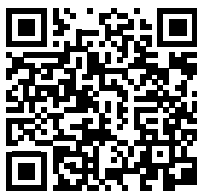
Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony. - **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszczce*

„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat. - **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

Tak dobre, że czytałem na głos! - **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY





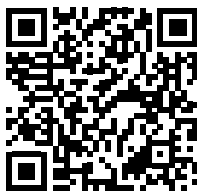
TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu! – Jacek Wróbel, autor serii Haxerlin

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





CZAROWNICA MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi, Likal i Yasa zmierzają wprost do paszczy lub łożnicy Smoczyca. Właściwie tylko ten ostatni ma szansę na to ostatnie. Krasnoluda i uczennicę Pierwotnego czeka lepszy los.

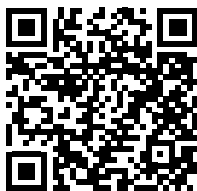
Nasi bohaterowie umilają sobie drogę, popadając w liczne tarapaty, grając w „jakie to przekleństwo”, testując wytrzymałość krasnoluda na trunki i wytrzymałość pozostałych na krasnoluda. Słowem – bawią

się wyśmienicie, jak to tylko oni potrafią.

Wszystko do czasu, kiedy na granicy z Itru sprawy nadmiernie się komplikują i przed wędrowcami stają kardynalne pytania. Czy Yasa poświęci najskrytsze marzenia dla podopiecznej? Czy Likal okiełzna drzemiącą w niej moc? Czy Sodi z pomocą Tropicielea ochroni przyjaciół?

„Czarownica” to kontynuacja bestsellerowego „Tropicielea” i powrót do świata znanego nam ze słuchowiska „Tropiciel opowiada”.

DRUGI TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





PETERKIN & BROKK:
KSIĘGA CZTERECH
GRZEGORZ GAJEK

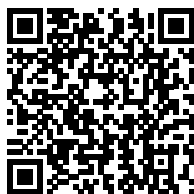
Bycie niziołkiem w szeregach policji to nie jest bajka. Odo Peterkin przekonuje się o tym niemal każdego dnia służby. Znosi jednak uszczypliwe komentarze elfów, ludzi i krasnoludów, gdyż tym, co sprawia mu największą przyjemność, jest rozwiązywanie skomplikowanych zagadek kryminalnych.

Tuur Brokk jest na pierwszy rzut oka przeciwieństwem Peterkina. To uosobienie idealnego policjanta. Krasnolud, weteran wojenny, bokser i postrach przestępczego świata, jak również, o czym wie niewiele, poeta i niepoprawny romantyk.

Pierwszym wspólnym zadaniem Odoni i Tuura jest wyjaśnienie tajemniczej śmierci znanego muzyka Viventa Rossiego. Na ich drodze staje armia ożywieńców, powołana do życia w czasach Wielkiej Wojny, magowie i wilkołaki, dziennikarze i eugenicy, a nawet, o zgrozo, dziewczki wszeteczne! A to bynajmniej nie koniec niespodzianek...

Z daleka detektyw Peterkin i śledczy Brokk przypominają najstynniejszy tandem literackich detektywów XIX stulecia z opowiadań Artura Conana Doyle'a. Kiedy jednak przybliżyć lupę, na plan pierwszy wychodzą nie podobieństwa, ale te wszystkie smakowite różnice, które sprawiają, że ich śledztwa są tak intrygujące.

Michał Cetnarowski, publicysta, redaktor Nowej Fantastyki



MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54
SZARE PŁASZCZE

KOMANDORIA 54
MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgliszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie. - Jacek Łukawski, autor Krew i stal, Grom i szkwał i Pieśń i krzyk

PIERWSZY TOM SERII SZARE PŁASZCZE





KRAWĘDŹ: OTCHŁAŃ PIOTR PATYKIEWICZ

Świat zawieszony pomiędzy Niebem a Otchłanią opromienia życiodajna Łaska. Przybiera ona postać słonecznego światła, które rozprasza mrok i błogosławi wszystko, co żywe. Czasami jednak objawia się w bardziej materialnej formie Anioła.

Kiedy jeden z takich wysłanników Łaski spada z niebios, pozostawia potężną emanację mocy. Dzięki niej zamieszkujący pobliską grootę pustelnik zaczyna czynić cuda i przyciągać wiernych. Wzbudza tym zawiść i pożądanie Mistrza Zakonu, który wysyła na przespiegi Najdka, sierotę przygarbnętego lata temu przez zakonników.

Chłopak staje się świadkiem zmagania pomiędzy światłem Łaski a demonami Otchłani. To, czego doświadcza i wiedza, jaką zdobywa, stanowią ogromne zagrożenie dla ustalonego porządku świata. Najdek, aby uniknąć śmierci lub dożywotniego odosobnienia w klasztorze, musi uciekać. Wyrusza wraz z najlepszym przyjacielem Cabajem i naznaczoną przez Otchłań Zoją w podróż, która zawiedzie ich na Krawędź świata. Znajdą tam odpowiedzi na wiele pytań, ale i wiele pytań bez odpowiedzi.





POKÓJ ŚWIATÓW PAWEŁ MAJKA

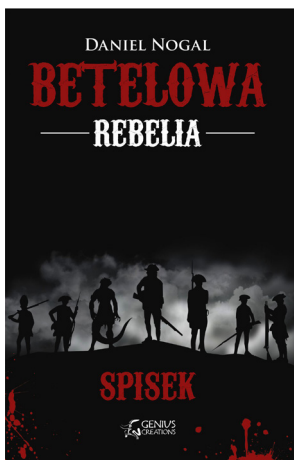
I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

**NAGRODA LITERACKA IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO
NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA**



BETEŁOWA REBELIA: SPISEK DANIEL NOGAL

W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Łożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniesiona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betełową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygryskiej Wyspie... Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogal stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii! – Marcin Jamiołkowski, autor Okup krwi, Order, Bezsenności, Szczęściarz

PIERWSZY TOM SERII BETEŁOWA REBELIA





DRZEWO WSPOMNIENÍ

MAGDALENA LEWANDOWSKA MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

Źłe się dzieje w Daborze. Pozbawione przywództwa Witii i nękanie atakami potężnego cesarstwa Hermaru państwo chyli się ku upadkowi. Okradany przez urzędników skarbiec świeci pustkami. Po wielu latach wojny brakuje wiary w to, że nierówna walka z cesarstwem ma jakikolwiek sens.

W desperackiej próbie ocalenia Daboru na nową przywódczynię wybrana zostaje Saja – dwunastoletnia wnuczka ostatniej Witii. Z pomocą woja Mira, wilka Skry, ziółek, sieci daborskich agentek i wtrącających się we wszystko duchów przodków młoda Witia musi wypełnić swoją pierwszą misję – zatrzymać nieuchronną inwazję Żeglarzy z wysp Trogen, bezwzględnych piratów sprzymierzonych z cesarstwem.

Pełna słowiańskiej magii opowieść o dojrzywaniu i kształtowaniu charakteru, o mocy, jaką niesie wierność tradycji.

PIERWSZY TOM CYKLU WITIA



Jacek Wróbel
**Cuda i Dziwy
Mistrza
Haxerlina**



CUDA I DZIWY
MISTRZA HAXERLINA
JACEK WRÓBEL

W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, re-

klamacjami i dawnymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłódami rzuconymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

“Życie wędrownego maga i alchemika powinno być ustane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu “Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw.

W dodatku orżnięci klienci potrafią całe lata chować urazę...

Andrzej Pilipiuk, „ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA



Jacek Wróbel

Życie i czasy Mistrza Haxerlina



ŻYCIE I CZASY MISTRZA HAXERLINA JACEK WRÓBEL

Każda historia ma swój początek, a każdy przedsiębiorca musiał od czegoś zaczynać.

Fabrykowanie artefaktów to nie bułka z masłem!

Zanim Mistrz Haxerlin rozkręcił swój „czarodziejski” interes i zaczął regularnie wpadać w tarapaty, wiódł poczciwy żywot studenta Collegium Magicum, gdzie o kłopoty równie łatwo jak na szlaku.

Jakie zagrożenie czyha w murach uczelni? Czy spryt wygra w starciu z mrocznymi siłami? I przede wszystkim: czy Mistrz Haxerlin zaliczy drugi semestr?!

Starcie z Kaosem, tajemnica starego kevlarskiego cmentarza, intrygi Czarnocieni i wywrotowa poezja. Wszystko to w kolejnej odsłonie przygód Mistrza Haxerlina!

Nie polecam lektury w miejscach publicznych, w których głośne parskanie śmiechem jest niemile widziane!

Małgorzata Lisińska, autorka powieści *Tropiciel* i *Czarownica*

DRUGI TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA





JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedynie - centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływy pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedynie próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bezpardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie oblavy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwywanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieśkrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobały Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!

